Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 28. Sierpnia 1898.

Wychodźtwo do Brazylii.

Czytamy w sprawozdaniu jeneralnego konsulatu austro węgierskiego z Rio de Janeiro z czynności za r. 1897:

Tak rząd centralny w Brazylii, jak też rządy poszczególnych Stanów użyczały, podobnie jak przedtem, swojej gorliwej opieki kwestyi emigracyi w tem silnem przekonaniu, że Brazylia nie może absolutnie bez ciągłego przypływu zagranicznych sił roboczych się obyjść ze względu na swoje rolnicze i przemysłowe potrzeby.

Rząd centralny rozwiązał już w roku 1896 układ z „Compania Metropolitana“ o sprowadzenie miliona wychodźców na swoje koszta, jakoteż układy o popieranie emigracyi z poszczególnymi stanami Od tego czasu rządy poszczególnych stanów uważają za konieczne sprowadzanie zagranicznych robotników na własne koszta Łatwo więc pojąć, że postępowanie rządów poszczególnych Stanów dla dopięcia tego samego celu, chociaż w ogólnych zarysach jednakie, to przecież różni się w szczegółach w miarę różnego znaczenia i odmiennych zasobów poszczególnych Stanów

Najważniejszy, pod niejednym względem, najbardziej rozwinięty z sprzymierzonych Stanów Brazylii, mianowicie San Paolo, zajmuje także pod względem imigracyi pierwsze miejsce, a ponieważ jego postępowanie w tej, dla Brazylii prawdziwie żywotnej kwestyi, także dla innych Stanów jest wskazówką, jak daleko ze względu na finansowe stosunki mogą iść za jego przykładem, to nie będzie od rzeczy, niedawne sprawozdanie prezyenta Ferazo podda bliższemu rozbiorowi.

Według obliczeń immigrowało w r. 1896 do samego Stanu San Paolo 74 918 osób, z pośród nich 42.661 na koszta centralnego rządu, a reszta na koszta rządu Stanu. Jeżeli doliczymy te cyfry do cyfr poprzednich lat, przekonamy się, że od r. 1827 (w którym to czasie przybyli wogóle pierwsi emigranci) na samo tylko terytoryum San Paolo do końca 1896 r. przybyło nie mniej, jak 700,211 wychodźców, z pośród których było 493.535 Włochów, a 206.676 Portugalczyków, Hiszpanów, Niemców, Austryaków, Węgrów etc.

Ze względu na procentowy stosunek narodowości, biorących udział w tego rodzaju ściąganiu emigrantów, kierowała się Brazylia jedynie dążeniem, aby o ile możności wprowadzić harmonię pomiędzy immigrantami a tutejszemi potrzebami i stosunkami. Należy przytem zaznaczyć, że mówimy tutaj o dwóch istotnie różniących się kategoryach przychodźców, mianowicie z jednej strony o takich, którzy po prostu zadowalają się płacą robotnika rolnego na wielkich plantacyach kawy, z drugiej zaś strony o właściwych osadnikach, t. j. małych właścicielach gruntu, którzy tylko z trudnością do innych celów dają się użyć. Doświadczenie wykazało, że ta różnica w żądaniach jest ściśle związana z narodowością i że ci osadnicy. którzy żądają ziemi, zwracają się głównie do południowych Stanów republiki, jak do Rio Grande da Sul, Sta. Catharina i Parana.

6 sierpnia 1897 r. zawarł rząd San Paola z firmą A. Fiorita i Compania kontrakt, na mocy którego ta ostatnia obowiązuje się w przeciągu pewnego czasu i pod umówionymi warunkami niemniej jak 60.000 europejskich emigrantów jako robotników krajowych dostarczyć, pomiędzy którymi ma się także znajdować 10.000 Austryaków. Na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń zdaje się, że dzięki wczesnym zarządzeniom władz węgierskich z jednej strony, z drugiej zaś strony przez powrót wśród największej biedy dawniejszych emigrantów i wskutek udzielonych przestróg, chłopi z Austryi wreszcie powstrzymani zostali w swej gorączce emigracyjnej tak, że przez to wynik dotychczasowego werbowania nie zasługuje nawet na wzmiankę.

Co się tyczy wielu koncesyonowanych umów na podstawie dekretu rządowego z 28 czerwca 1890 r. celem założenia „kolonii Nukleos“ i osiedlenia emigrantów w rozmaitych państwach „Związku“, to z końcem 1896 r. pozostało w mocy tylko 32, podczas gdy 233 w roku 1891 zostało uznanych jako przepadłe.

Oprócz San Paolo również i inne państwa chętnie zatrudniają każdego czasu emigrantów europejskich jako robotników wiejskich, ale tymczasowo tylko takich, którzy przybywają na własne koszta, ponieważ te państwa nie mają chwilowo dostatecznych środków finansowych, aby podobnie jak San Paolo módz zaprowadzić emigracyę subwencyonowaną, albo wymierzać kawałki gruntu emigrantom. Rozdzielania gruntów również jak i budowania dróg zaniechano na koszta „Związku“ całkowicie, z zaprzestaniem ściągania emigrantów, przez co odebrano emigrantom znajdującym się tutaj ostatnią możność utrzymania się.

Odnośnie do emigrantów przychodzących z Galicyi pokazuje się coraz widoczniej, że ci są całkiem niezdolni do pracy w plantacyach kawy, podobnie jak włoscy, portugalscy i hiszpańscy chłopi i równo z nimi muszą robić oszczędności z płacy ledwo wystarczającej na zakupno artykułów żywności. Galicyjski chłop przeważnie został namówiony do emigracyi tylko przez oszukańcze obietnice ajentów otrzymania gruntu dającego się łatwo uprawiać, nie spodziewając się, że znajdzie tylko gęsty stary las albo grunta górzyste, przy których nie ma wcale dróg ani innych środków komunikacyjnych, a skoro rzeczywistość okazała się tak smutną, widocznie traci ochotę do emigracyi. Dosadnym przykładem jest następujący przypadek: od końca czerwca do 20 września 1897 r. znajdowało się w „hospedarii“, „Mariano Procopio“ (Minas) 26 rodzin galicyjskich emigrantów (140 osób), które utrzymywały, że zostały zwerbowane do Parany przez ajentów obietnicą otrzymania darmo gruntów, podczas gdy rząd w Minas przyjął ich jako zamówionych robotników do plantacyi kawy.

Ponieważ ci Galicyanie pod żadnym warunkiem nie chcieli się udać do jakiejkolwiek „Caffée-Facenda“, również konsulatowi nie udało się, mimo wszechstronnych starań, dostarczyć im gdzieindziej rentującej się pracy, n. p. w Argentynie, gdzie istniała skłonność przyjęcia tych ludzi, więc zmuszono rząd w Minas do utrzymywania tych 140 osób przez cały czas (przeszło dwa i pół miesiący) i wreszcie do odesłania ich do Genui na koszta rządowe.

W podobnem położeniu znajdują się po części także dosyć często z własnej winy pojedyncze rodziny emigrantów galicyjskich, które niezadowolone z pracy tamże znalezionej, będąc ogołocone z wszelkich środków, udają się o pomoc do jeneralnego konsulatu, aby napowrót dostać się do ojczyzny.

Konsulat jeneralny zwrócił więc całą swą uwagę na tę ważną kwestyę powrotu do ojczyzny i udało mu się w zadowalający sposób odpowiedzieć stawianym pod tym względem wymaganiom, częścią przez otrzymanie znacznego zniżenia kosztów podróży morskiej częścią przez finansową pomoc ze strony niedawno tutaj założonego austro-węg. Hilfsverein'u.

Ogólna immigracya do Brazylii w r. 1897 wynosiła 119747 osób wobec 159.126 w roku poprzedzającym. Z Austro-Węgier immigrowało do Brazylii, według dotychczas otrzymanych dat statystycznych, tylko 501 osób wobec 10.996 w r. 1896, co wskazuje ubytek 10.495. Trzeba tu jednak wyraźnie zaznaczyć, że wielu Austryaków zapisanych jest po prostu w rubrykach: „Niemcy“, „Włosi“, albo „Rosyanie“, względnie „różne państwa euro pejskie“, podług tego. czy mówią po niemiecku, włosku, lub po polsku, szczególnie wtedy, jeśli nie mają dostatecznych dokumentów przynależności, co bardzo często się zdarza a przez co wielka część emigrantów uchyla się całkiem od ewidencyi. W każdym razie trzeba dodać, że przypływ austro-węg. emigrantów do portów w Rio de Janeiro i Santos, które jedynie są miarodajne, całkiem prawie ustał w roku 1897 w postaci większych transportów robotników, jak również że i przypływ emigrujących na własne koszta rękodzielników względnie najemników podobnie ustał.

Ibsen u siebie.

Jedna i ta sama myśl zaprzątała wielu naszych towarzyszów podróży, zwłaszcza kobiety. Chcieli widzieć Ibsena. Bawił właśnie w Chrystyanii, a wiadomość ta, otrzymana przy wylądowaniu, ucieszyła wszystkich. Ale panie najwięcej z nas uradowane, nie znały zwyczajów życia w Norwegii. Obiad jedzą tam o trzeciej, a potem następuje godzinna siesta. To też gdy po południu zjawiły się w mieszkaniu głośnego pisarza, służący oznajmił im, że „pan śpi“. To wprawiło je w zdumienie. Czyżby to już był jeden z objawów ibsenizmu? — myślały sobie.

A jednak Ibsen jest bezwątpienia najdostępniejszym z ludzi w Chrystyanii, gdyż prowadzi życie tak regularne, iż Baedeker mógłby bez obawy popełnienia omyłki wskazać podróżnym dokładnie godziny, w których sławny pisarz wychodzi z domu, gdzie wchodzi, gdzie zatrzymuje się i drogę, którą przebywa.

Ibsen spędza w domu wszystkie poranki. Od godziny wpół do jedenastej do wpół do dwunastej przyjmuje wizyty, później wychodzi przez „Carl Johans gade“ na wielki bulwar, wiodący do pałacu królewskiego. Wchodzi do Grand-Hotelu, każe sobie przynosić dzienniki i szklankę wody, zmięszanej ze „scotch whisky“ i spędza dwie godziny na czytaniu.

Następnie wraca do domu na obiad, odbywa krótką siestę, pracuje do godziny 7 i znów wyrusza do Grand-Hotelu, gdzie oczekują na niego inne dzienniki i druga szklanka whisky. Powraca około godziny wpół do ósmej, zjada lekką kolacyę i spędza cały wieczór z rodziną. Wieczorami wychodzi rzadko, w teatrze nie bywa prawie nigdy. Do Chrystyanii przybywały trupy zagraniczne, aby wystawiać jego utwory. On nie bywał na tych widowiskach. Tylko w godzinach, kiedy czyta gazety, gapie mogą mu się wygodnie przypatrywać. Ich niedyskrecya przeszkadza mu często.

Niegdyś zasiadał w kawiarni hotelowej. Wtedy obsiadano go w sposób tak natrętny, że przestał tam uczęszczać. Obecnie pije swoje whisky na werandzie, otaczającej salę jadalną hotelu od strony podwórza, gdzie trudniej jest dostać się obcym. Zdarzyło się jednak, że i weranda była w oblężeniu. Wtedy Ibsen zabierał dzienniki i uciekał do czytelni, gdzie miał przyjemność siedzenia naprzeciwko swego popiersia monumentalnego i bardzo podobnego. Nie ma człowieka, który byłby w swoim kraju portretowany na więcej sposobów. Jest na półmiskach, w bronzie, na fajkach, nawet na bibułkach od papierosów. Nie wspominamy już o fotografiach, których pełno w każdej witrynie sklepowej. Sława nie zatarła w nim dobroduszności starca. Dobroduszność! tak to wygląda z pozoru, a tym pozorom zawdzięczam jedną z największych niespodzianek mej podróży.

Była godzina szósta. Jeden z moich przyjaciół, mieszkających w Chrystyanii, rzekł do mnie:

— Chcesz pan powitać Ibsena? A więc nie ruszaj się z miejsca. Trzebaby jakiegoś nadzwyczajnego wypadku, żeby w ciągu jednej lub dwóch minut nie przeszedł około nas chodnikiem.

Jeszcze nie skończył, gdy, wskazując palcem, zawołał:

— Oto jest!

Słotny czas poranku odświeżył powietrze i zwilżył chodniki. Starzec szedł drobnym krokiem, w kapeluszu wysokim, z parasolem i w kaloszach Szedł lekko, trochę zgięty, patrząc przez niebieskawe szkła złotych okularów. Po pierwszych słowach, zwróconych do niego, uśmiechnął się nieśmiało, wyciągnął rękę, a jednocześnie pojawiło się na jego twarzy zaambarasowanie z powodu tłumu, który zaczął się zbierać. Zresztą nadchodziła jego godzina dzienników. Dał znak, iż pragnie wejść do hotelu i całkiem cicho rzekł do mego przyjaciela:

— Jutro rano o pół do jedenastej. Nie wcześniej... I tylko was dwóch.

I szybkim krokiem poszedł na swą werandę do małego stołu, gdzie służący niezwłocznie przyniósł gazety i wysoki kufel piwa pilzneńskiego. Sprzedaż wszelkich spirytualiów w zakładach publicznych jest surowo wzbroniona w Chrystyanii od południa w sobotę do poniedziałku każdego tygodnia. Ibsen musi więc stosować się do tego przepisu wraz z innymi. Wraz z innymi! Istotnie najciekawszym rysem tego niezwykłego człowieka jest chęć nieodróżniania się w niczem od istot otaczających go. Ten ponury poeta, wielki wizyoner jest mieszczaninem, którego zwyczaje, słowa i zewnętrzne pozory życia mają przedewszystkiem pretensyę do banalności.

Mieszka niedaleko pałacu królewskiego w dzielnicy tak zwanej Nowej. Nie ma własnego domu w kraju, gdzie najbiedniejszy rybak ma swój własny kąt i dach nad głową. Wynajął mieszkanie na „Abins gade“ w domu nowym z wysoką fasadą ceglaną, przedziwnie monotonną, na pierwszem piętrze nad antresolami. Na drzwiach obok dzwonka mieści się mała tablica bronzowa, a na niej napis: dr. Henryk Ibsen.

Służąca nas wprowadza. Mieszkanie obszerne, dobrze utrzymane, odznacza się tą elegancyą mieszczańską bez wyrazu. W przedpokoju i sali jadalnej odgłos kroków tłumi chodnik z linoleum, malowany w deseń mozajki... Ibsen wychodzi do nas z tym samym uśmiechem co wczoraj i wyciąga rękę. Ubrany jest prawie elegancko: w lakierkach błyszczących, w białym krawacie, w czarnym wysoko zapiętym surducie z wyłogami i z oznakami orderu Gwiazdy Polarnej.

I jeszcze jeden ciekawy rys charakteru. Ten siedmdziesięcioletni starzec, okryty sławą, który nie bywa na przedstawieniach swych arcydzieł, ale który nie opuszcza żadnego wieczoru u króla, lubi ordery i wbrew zwyczajowi norweskiemu swój nosi nieustannie. Ubiegłej wiosny, jadąc do Danii, otrzymał w Gotenburgu wiadomość, że król obdarzył go wielkim krzyżem orderu Danebroga i ucieszył się nadzwyczajnie.

Obserwuję Ibsena, siedzącego w tej chwili przed dębowem biurem, przed którem pracuje rozmawiając. Wydaje mi się bardzo piękny i bardzo dobry. Pokazuję mu fotografię i proszę o podpis. Wtedy odwraca się od małego biurka, na którym leżą poukładane we wzorowym porządku pióra, ołówki, atrament i papier, kładzie na fotografii kartkę papieru, by jej nieuszkodzić i pisze swe nazwisko. Wszystko to robi bez żadnych cere-

Lwów-Kamieniec Podolski

Notatki z podróży cyklisty.

Nie byłem dotąd w Wiedniu, ani w Peszcie, ale — nie chwaląc się — znam prawie wszystkie większe miasta dawnej Polski oprócz Wilna, a teraz wybrałem się na zwidzenie tej resztki Galicyi, której dotąd nie widziałem.

Byłbym niesprawiedliwym dla mojego kółka, gdybym z góry nie wspomniał, że przedewszystkiem jemu to mam do zawdzięczenia, piechotą bowiem dróg takich się nie odbywa, a koleje aczkolwiek nie najdroższe, zawsze jednak, jak na moją kieszeń i to nie z konieczności, lecz gwoli rozrywce i wytchnięciu na dłuższe przestrzenie są mi nieprzystępne. Wprawdzie do Worochty wygodnie doniosła mnie kolej, za to resztę drogi z bardzo małemi i krótkimi wyjątkami odbyłem na rowerze i to w ogólnej cyfrze przeszło dziewięciuset kilometrów.

We czwartek dnia 21 lipca przed godziną 6 rano wyjechaliśmy z moim towarzyszem panem W. B. pod najgorszemi auspicyami ze Lwowa.

Deszcz lał strumieniami i jak się zdawało zaniosło się na dłuższą słotę, z tego też powodu nie mogliśmy się napatrzyć ani nacieszyć wspaniałemi widokami, które się już od Nadwórny zaczynają i przestrzeń tę, nawet koleją, oglądaną z okien wagonu czynią bardzo zajmującą. Ulewa i mgła zasłaniały nam wszystko na kilka kroków, pozwalając się zaledwo domyślać, co to za cuda tuż po za nią się kryją. Przygnębieni tą niepogodą stanęliśmy nareszcie w Worochcie, gdzieśmy znaleźli wygodne pomieszczenie w „dworku czarnohorskim“, które było dla nas tem bardziej pożądane, że przestrzeń od dworca do dworku przebyliśmy w czasie największej ulewy i byliśmy literalnie do nitki zmoczeni.

Niestety! w miłem tem schronisku panuje ten niewygodny dla przejezdnych zwyczaj, że jeżeli się chce dostać cokolwiek zjeść, należy o tem dzień przedtem zawiadomić zarząd, inaczej możnaby pod gościnnym dachem prawie umrzeć z głodu, co i nam groziło, gdyby nie pp. K. ze Lwowa, którzy bawiąc tam przez lato, ulitowali się naszej nędzy i ugościli, jak tylko mogli najlepiej.

Po pożywieniu się i odpoczynku, mimo że deszcz nie ustawał na chwilę, wybraliśmy się około godziny 5 popołudniu przez Tatarów do Mikuliczyna i to do Tatarowa po najgorszej drodze, więcej dla kóz, jak dla cyklistów sposobnej, stamtąd zaś wybornym gościńcem do Mikuliczyna, tak dobrym, że go nawet dwudniowy, ulewny deszcz zepsuć nie zdołał.

W Mikuliczynie stanęliśmy już dobrze po zachodzie słońca, gdzieśmy znaleźli nie najgorsze locum u „pani Jasiowej“, dziwnie energicznej niewiasty, która nie znosi żadnego sprzeciwienia się ze strony gości a wszelkie wymagania karci z miejsca surowo, ale po takim dniu i po przebyciu około 16 godzin bądź koleją, bądź po złej drodze na kółku a podczas ulewnego deszczu była nam ona prawdziwą opatrznością. Ale początek był trudny, kiedyśmy bowiem przemoczeni do ostatniej nitki prosili o pokoik, gdzieby się przebrać, a potem posilić można, słodka ta istota powiedziała nam głosem nie znoszącym repliki:

— Nasamprzód kolacyjka, a potem spoczynek.

— Ależ pani widzi co się z nami dzieje. Leje się z nas, zostawiamy strugi na podłodze.

— To nic nie szkodzi, naprzód kolacyjka a potem pokoik.

— Niewiasto twardego serca! Czyż pani nie chce zrozumieć, że naprzód się przebrać musimy?

— Pan się złości?

— !? . . .

— Bo jak się pan będzie złościł nie będzie ani kolacyjki, ani pokoiku?

Cóż było robić? — Musieliśmy na chwilę spuścić z tonu i dopiero przy pomocy innej damy, mniej nieugiętych zasad, udało nam się nareszcie dostać .. wprzód pokoik, a potem kolacyjkę...

Usługiwała nam Warwarka, wspaniały okaz budowy i siły miejscowego ludu — nierozumiejąca ani słowa po polsku, nie mówiąca nic, ale bez ustanku dusząca się śmiechem. Miała ona na sobie tylko zgrzebną koszulę, z pod której wyglądały, jakby powiedziała pani Zapolska łydki koloru miedzi i małe strasznie brudne stopy. Zapasana była tak zwaną fotą, lub horboczką — otwartą z przodu. Osobliwa moda!

W piątek 21 lipca zbudziło nas prześliczne słońce, a cudowne, orzeźwiające górskie powietrze odrazu wpłynęło dodatnio na nasze pokwaszone humory. Skoro tylko powysychały nam ubrania puściliśmy się raźno w dalszą drogę, podziwiając te prawdziwe cuda przyrody, które nam wczoraj mgły zasłaniały. Istotnie, cała ta droga od Mikulczyna, aż po sam Delatyn, bardzo i to bardzo warta zwidzenia i nie wahałbym się zaliczyć jej do najpiękniejszych okolic naszego kraju. Są tam miejsca tak wspaniałe, widoki tchnące taką dzikością i surowością przyrody, budowa kolei ciągnąca się tuż prawie obok gościńca, a ciągle korytem rzeki Prutu tak sztuczna, że czegoś podobnego w innej części naszego kraju widzieć mi się nie zdarzyło. Nieposiadam talentu do jakiego takiego choćby odmalowania dzieł przyrody, nie będę się przeto silił na jakiś marny, suchy a sztuczny opis, który by nie dał nikomu wyobrażenia o tem, czem się tam nacieszyć i nacudować można, radzę jednak każdemu, kto może, aby sam osobiście przekonał się o tem, że nie przesadzam zaliczając ten kąt naszej ojczyzny do najpiękniejszych i najbardziej godnych zwidzenia. Nie ma tam co prawda tych nagich, przepaścistych skał zadziwiających w Zakopanem i jego najbliższej okolicy, ale i te skały i góry, które się tu wznoszą na około, porosłe odwiecznemi lasami, te olbrzymie złomy kamieni zawalające sobą koryto rzeki lub zawieszone tuż nad głową przejeżdżającego, czynią imponujące i jedyne w swoim rodzaju wrażenie.

Pomimo to wszystko skromnem mojem zdaniem, nie ma obawy, aby Jaremcze, Worochta i inne uczyniły kiedykolwiek konkurencyę Zakopanemu. W Jaremczu widzi się Lwów i Stanisławów, w Zakopanem całą Polskę — a to zawsze będzie mieć swój urok.

(C. d. n.)

monii z pewną powagą nieśmiałą i pełną wdzięku.

Z okazyi wystawienia jego „Wroga ludu" w Paryżu kółko literatów francuskich powzięło myśl obdarzenia Ibsena piękną grupą bronzową, upamiętniającą to przedstawienie. Ibsen pokazuje mi ten podarek spokojnym gestem. Umieścił ją pod wielkim portretem Strindberga. Następnie pokazuje mi fotografię Zacconiego w „Upiorach" i mówi o podróżach artystycznych Duse po Hiszpanii i Ameryce. Podróże te przyczyniły się do spopularyzowania jego repertuaru.

Zapytuję go w końcu, czy przygotowywa jaką pracę nową: „Tak i nie" — odpowiada. — „Obserwuję i notuję, ale nie wiem, co jeszcze z tego będzie".

Wizyta się kończy. Staruszek, cokolwiek pochylony, odprowadza nas do drzwi, ściska za rękę i powtarza drżącym głosem: „Dziękuję — dziękuję".

Kroniczka naukowa.

(Neon i metaargon. — Czy 210 stopni zimna szkodzi bakteryom? — Światło elektryczne bez ciepła).

W ostatnich czasach doniesiono o odkryciu kryptonu, nowego składnika powietrza atmosferycznego; zdawało się, że na tem koniec, atoli dowiadujemy się, że Ramsay i Travers poszli dalej na tej drodze i przekonali się, że nasza atmosfera, oprócz wspomnianego kryptonu, zawiera jeszcze dwa całkiem nowe gazy, mianowicie Neon i Metaargon.

Wszystkie te odkrycia wiążą się pomiędzy sobą.

Oto Ramsay, destylując płynne powietrze, zauważył, iż pomiędzy najmniej lotnemi gazami, które najdłużej pozostawały w stanie ciekłym, znajduje się przeważnie argon. Korzystając z tego sposobu, uczeni angielscy otrzymali całą butelkę płynnego argonu.

Postępując z argonem podobnie jak z powietrzem, Ramsay i Travers zauważyli w końcu na dnie owej butelki jakąś ciecz, która obserwowana przez spektroskop, dała wspaniałą linię zieloną, obserwowaną zwykle w zorzy północnej. Tak odkryto krypton.

Oddzieliwszy następnie krypton od argonu, Ramsay i jego towarzysz znaleźli w pozostałej cieczy „neon" i „metaargon", ciało stałe, które potem się ulatniało.

Możemy więc od dziś zmienić nasze pojęcie o składni powietrza; oprócz tlenu, azotu, kwasu węglowego, znajdujemy w nim jeszcze argon, krypton, neon i metaargon.

Charakterystyczną cechą tych wszystkich pierwiastków jest obojętność pod względem chemicznym tj. słabe powinowactwo. Dzięki tej właśnie okoliczności, gazy te nie weszły w połączenie z korą ziemską, lecz pozostały w stanie wolnym, obok azotu.

Odkrycie wspomniane dowodzi raz jeszcze, jak potężnemi środkami badań rozporządza dzisiejsza fizyka i chemia.

Pan d'Arsonval, znany fizyk francuzki zrobił doświadczenie bardzo ciekawe, przy pomocy płynnego powietrza, które, jak wiemy przestało być curiosum laboratoryjnem, mianowicie poddawał działaniu tego niesłychanie oziębiającego środka rozmaite mikroby, aby się przekonać, czy bardzo niska temperatura zabija je rzeczywiście, jak przypuszczano dawniej.

Zaczął od drożdży piwnych, które nie są niczem innem, jak mikroskopowym grzybkiem. Otóż drożdżowe komórki nie obumierają wcale wskutek dwugodzinnego zetknięcia się z parującem przy normalnem ciśnieniu powietrzem, lecz tylko ulegają zniecząleniu, które mija w 8—10 godzin, poczem grzybek odzyskuje zdolność przemieniania cukru na alkohol.

Z bakteryami chorobotwórczemi d'Arsonval wykonał dwie serye doświadczeń, poddawał je działaniu pośredniemu, umieszczając je w rurce szklannej, zanurzonej w ciekłem powietrzu, i bezpośredniemu, kładąc hodowle do takiegoż powietrza. W pierwszym przypadku zimno nie wywarło żadnego wpływu ani na chorobotwórcze mikroby, ani na wydzielane przez nie trujące produkty — toksyny — wniosek nie pocieszający dla hygienisty; hodowle w dłuższem zetknięciu z płynnem powietrzem uległy też nie nieznaczącym zmianom.

Zimno dwustu kilkunastu stopni nie może więc służyć za środek dezynfekcyjny.

Mówiąc o zimnie, wspominamy o zimnem świetle. Czyż zimne światło istnieje, zapytacie?

Zamiast odpowiedzi, przypominamy wam robaczka św. Jańskiego, który nadaje tyle tajemniczego uroku letnim nocom. Możecie wziąć bez obawy w rękę tego owada i przekonać się, że wytwarza on światło bez ciepła.

Otóż wynalezienie takiego światła, to ćwiek, który oddawna tkwi w głowach fizyków. Zadanie przedstawia wielkie trudności, lecz nie wątpimy, że geniusz ludzki potrafi je pokonać.

P. Tesla ukazał nam już drogę, którą należy obrać, aby osiągnąć cel wytknięty. Dowiódł on bowiem, że prądy elektryczne, zmieniające szybko swój kierunek (do 300 tys. razy na sekundę) wywołują zjawiska świetlne w rozrzedzonem powietrzu.

Fizyk ten używał jednak do swych doświadczeń skomplikowanych i drogich aparatów; stanowiło to znaczną przeszkodę, którą usunął świeżo Amerykanin p. Moore.

Wystawił on na widok publiczny kaplicę oświetloną długiemi rurami szklanemi z rozrzedzonem powietrzem i przekonał wszystkich, że światło bez ciepła ma przed sobą olbrzymią przyszłość; jest bowiem nadzwyczaj przyjemne dla oka i zmienia odcienia stosownie do natężenia prądu.

Istota wynalazku Moora polega na tem, że zbudował on tani a dobry przerywacz dla prądu, podobny do zwyczajnego sprężynowego, lecz umieszczony w próżni barometrycznej. Sprężyna odskakując od sztyftów w przeprzestrzeni pozbawionej powietrza, przerywa prąd odrazu, dlatego też indukcyjne jego własności potęgują się znakomicie; siła elektrowzbudzająca z jednego elementu Bunzenu a nawet Daniela wystarcza do wywołania białego, przyjemnego światła wewnątrz rurki.

Rurka taka nie zawiera wlutowanych i migających do wnętrza drutów platynowych; przewodniki dosyłające prąd dotykają poprostu powierzchni szkła, które w gruncie rzeczy przepuszcza elektryczność, zwłaszcza mającą wysokie napięcie.

Dzięki temu uproszczeniu fabrykacya rur takich wypada tanio i obniża koszty instalacyi systemu oświetlenia Moora.

Wynalazca używa prądu zaczerpniętego z miejskiej sieci przewodników, tylko włącza przerywacze swego wynalazku.

Doświadczenia wykazały, że nowe światło wypada nieporównanie taniej od zwyczajnego żarowego; ma nadto inne bardzo pożądane zalety, mianowicie jest podobne do rozproszonego dziennego, nie grzeje, nie swędzi, nie razi oczu, wpływa kojąco na nerwy, a nawet daje się używać do robienia zdjęć fotograficznych.

W. Umiński.

Rzeczpospolita mnisia.

Oryginalna rzeczpospolita mnichów istnieje na górze Athos nad morzem Egejskiem. Przetrwała ona powódź stuleci i żyje dziś jeszcze — jedyny to w swym rodzaju organizm państwowy, którego przywileje, zagwarantowane przez sułtana Murada II, przetrwały prawie w całości do chwili obecnej.

Góra Athos (1935 metrów wysokości) potężny nagi olbrzym, uwieńczony sterczącą wysoko kaplicą Przemienienia Pańskiego, wznosi się tuż ponad morzem. Wnętrze półwyspu jest pełne gór zalesionych, pokrytych wieczną zielenią, rozdartych czeluściami. Gdy wstąpisz na szczyt Athosu, który obserwowany od strony morza, wydaje się zupełnie niedostępnym, ujrzysz wyspy Lemnos, Thasos, Samothrake, Tenedos, Skopelos, Euboeę, a dalej wierzchołki Olimpu, Ossy i Pelionu, całe wybrzeże od Saloniki aż do Chersonu i łańcuch gór w Małej Azyi.

Dziś dziwaczna republika mnichów na Athosie składa się z 20 podobnych do fortec, w części bardzo obszernych klasztorów, do których należy 11 wsi, 250 celek osobnych i 150 pustelni, rozsianych na całej przestrzeni góry rozległej. Ogólna liczba mnichów mieszkających w klasztorach — przedewszystkiem Greków, nie brak jednak Rosyan, Serbów, Bułgarów, itd. — wynosi około 3.000, a równie wielką jest cyfra laików. Klasztory oparte są w jednej połowie na regule coenobitów, w drugiej na regule idiorhytmów. Pierwsi otrzymują wszystkie artykuły spożywcze wprost od zarządu klasztoru. Jedzą tylko raz na dzień i to wspólnie w obszernych refektarzach, a ze stołu ich mięso wykluczone jest zupełnie. Obiad ich składa się z chleba i jarzyny, a w trzech pierwszych dniach wielkiego postu nie biorą do ust niczego prócz wody. Modlitwy coenobitów trwają w dnie powszednie 6, w święta 12 godzin.

Mniej surową jest reguła idiorhytmów. I oni mieszkają we wspólnych klasztorach, ale każdy żywi się w celi swojej według własnego upodobania. Tylko chleba i wina dostarcza zarząd klasztoru, resztę sprawia sobie każdy zakonnik z większej lub mniejszej pensyi, którą stosownie do wieku i godności otrzymuje z kasy centralnej.

Na czele coenobickich klasztorów stoi przeor, wybierany na mocy głosowania przez mnichów. Urząd jego jest dożywotni. Zarząd klasztorów idiorhytmicznych spoczywa w rękach dwóch lub trzech administratorów, których z roku na rok wybierają braciszkowie. Klasztory zbudowane są na stokach góry i na wybrzeżu morskiem, a w okół sterczą mury wysokie ze strzelnicami. Dawniej stały tam armaty, lecz od czasu greckiego powstania przywilej ten został zniesiony na rozkaz rządu tureckiego. Z 20 klasztorów 17 należy do mnichów greckich, 2 do serbskich i bułgarskich, jeden do rosyjskich.

Ogólnemi sprawami athoskich klasztorów kieruje św. Synod (to protaton) który stałą siedzibę ma w prześlicznej, wśród winnic i ogrodów położonej siedzibie Karyaes. Tu rezyduje także turecki kajmakan wraz z kilku urzędnikami. Każdy klasztor ma swój dom własny, czyli ambasadę, przeznaczoną dla przedstawiciela zasiadającego w synodzie. W domach tych mieszkają także młodzi zakonnicy, uczęszczający do szkoły klasztornej. Synod składa się z dwudziestu reprezentantów poszczególnych klasztorów wybieranych na rok jeden i z czterech naczelników (epistatów).

Ta rada dwudziestu czterech odbywa w pewnych odstępach czasu zgromadzenia, aby rozważać ogólne sprawy republiki athoskiej np. stosunki do rządu tureckiego i haracz 37.000 fr. wypłacany rokrocznie sułtanowi. Jest to rodzaj senatu, na którego czele stoi prezydent z tytułem: „pierwszy z Athosu". Dla utrzymania porządku i obrony przeciw kleftom, utrzymuje rzeczpospolita athoska wojsko, złożone z 50 żołnierzy, którzy między innemi zwracają baczną uwagę, aby żadna kobieta, co więcej żadne zwierzę domowe rodzaju żeńskiego, nie wstąpiło w granice Athosu.

Mieszkańcy tej oryginalnej republiki zajmują się wyłącznie modlitwą, rolnictwem, rzeźbą na drzewie, ogrodnictwem i tkactwem. Z dawnej działalności naukowej mnichów nic nie pozostało, prócz zaniedbanych w najwyższym stopniu bibliotek, których skarby skatalogował niedawno profesor Lambros z Aten. Kościoły klasztorne posiadają śliczne roboty snycerskie i złotnicze, oraz kilka cennych fresków w stylu bizantyńskim. Na mocy starych przywilejów nie wolno żadnemu muzułmaninowi, prócz kajmakana i urzędników jego, zamieszkiwać w rzeczypospolitej athoskiej.